

Witamy na stronie Klubu Jagiellońskiego. Jesteśmy republikańskim i niepartyjnym stowarzyszeniem, które próbuje oddziaływać na politykę w duchu troski o dobro wspólne. Piszemy pogłębione artykuły o polityce, gospodarce, historii i kulturze. Formułujemy obywatelskie postulaty zmian i wysyłamy petycje do władz. Publikujemy komentarze ekspertów i tematyczne raporty. Działamy w całej Polsce.

Zachęcamy do regularnych odwiedzin naszej strony. Informujemy, że korzystamy z cookies.

Zostawcie mi chociaż Beksińskiego

[Bartosz Brzyski](#) 5 stycznia 2015

przeczytanie zajmie 4 min

beksinski.com.pl

ARCHIWUM

Na przełomie roku redakcje prześcigają się w kompletowaniu zestawień, podsumowań, rysowaniu prognoz. Czytelnik dowiadyuje się, której z 15 najważniejszych książek roku nie przeczytał, którego z listy filmu nie obejrzał - można nadrobić braki. Porzucając bzdurne wyliczanki, skupmy się na tym, co naprawdę miało dla nas znaczenie w mijającym roku.

W rzeczywistości nie musimy być ani na bieżąco z całym działem kulturalnym, ani nawet nie jest to potrzebne, ponieważ na przestrzeni życia tylko pojedyncze wytwory kultury naprawdę zapadną nam w pamięć. Deklarowanie przeczytania [52 książek](#) w ciągu roku czy zakładanie innych limitów ilościowych nie jest ani miarodajne, ani nie czyni z nikogo wielkiego inteligenta. Jest efekciarskie i będzie jedynie służyć popisywaniem się znajomością nazwisk i tytułów w kawiarnianych dysputach.

Mógłbym wymienić kilka wyszukanych książek, które były dla mnie istotne w 2014 roku, ale w rzeczywistości byłoby to zakłamanie. Tylko jedna zaangażowała mnie nieporównanie mocno, zarówno intelektualnie, jak i emocjonalnie – „Beksińscy. Portret Podwójny” Magdaleny Grzebałkowskiej. Tytuł ten pojawiał się wielokrotnie w zestawieniach, jednak nigdy opis książki nie sięgnął poza stwierdzenia, o czym literalnie ona jest. A jest przede wszystkim o sztuce. O jej miejscu we współczesnym świecie i o interpretowaniu. Wreszcie o roli, jaką ma do spełnienia artysta i jak zmienne są oczekiwania wobec niego.

Ze Zdzisławem Beksińskim wszyscy mieli problem. I mają go nadal. Krytycy niemal na oślep doszukiwali się w jego pracach nieistniejących inspiracji, nadawali obrazom przedziwne metafory, naginali interpretacje do własnych światopoglądów. Magdalena Grzebałkowska tak opisuje chaos, jaki panował na przestrzeni lat, między kulturalnymi ośrodkami opiniotwórczymi:

W pracach Beksińskiego widzą tęsknotę za tonem matki; chirurgiczne przeszczepy; wrażliwość na dół człowieka; opowieść o cierpieniu; piszą o mistycznym przywiązaniu do siebie ciał ludzkich; porównują je do twórczości Witkacego; dostrzegają Hiroszimę; klasyfikują jako wizję zbrodni niemieckiego faszyzmu (choć co tam robią panie w pończochach z podwiązkami, nie potrafią wyjaśnić).*

Co konstytuuje artystę? Na pewno poświęcenie dla sztuki. Czasem na granicy rozsądku, ważkie moralnie. W wypadku Beksińskiego symbolem takiego poświęcenia jest przełom lat 50-tych i 60-tych, moment, w którym maluje, nie mając środków na życie i utrzymanie rodziny. Sprzedaje prace właściwie pocztą pantoflową, za bezcen.

Oszczędzają gaz, którym grzeją, i na zimę przenoszą się do pracowni (Tomek i babcia zostają u siebie). Jarzyny i owoce biorą z ogrodu. Ubrania szyją sami. Gazet nie kupują. Zdzisław nie je masła, nie pije mleka, w najtrudniejszych momentach rezygnuje

z wędlin i kawy marago, bez której nie może żyć. Pisze do Turlejskiej: „Wolę nie mieć forsy, niż robić coś, czego nienawidzę, ale po prostu męczy mnie myśl, że ja wybrałem, ale nie wybrała tego ani Zosia, ani Tomek, ani mama.”*

W późniejszych wywiadach Beksiński wstydzi się, że poświęcił rodzinę dla osobistej wolności. Rozpatruje to w kategoriach błędu i winy. Jednak jak bardzo jego podejście różni się od rozumowania współczesnych „artystów” czy „performerów”? Malarz poświęcił coś, żeby móc tworzyć. Oni stają na stanowisku, że tworzenie jest poświęceniem – często nawet poprzez samookaleczanie czy publiczne roznegliżowanie.

Im bardziej staje się popularny, tym bardziej nie może znieść opinii krytyków. Swoich prac nie analizuje, nie nadaje im nawet nazw. Unika metafor, w których doszukiwaniu tak lubują się recenzenci. Nie ogląda albumów ani wystaw innych malarzy, bo traktuje to jako „antyinspirację”. Dlatego lektury recenzji swoich prac doprowadzają go do białej gorączki.

Czepiano się mnie niejednokrotnie, że z postaci na moich obrazach obłązi skóra. Przede wszystkim ja w ogóle nie wiedziałem, że to jest skóra: lubiłem i nadal lubię malować fałdy, strzępy, draperie i inne takie pokrętne formy, wydaje mi się, że wyrażam w ten sposób siebie. To, co jest namalowane, nie jest dla mnie nigdy tak dosłowne jak dla oglądających, którzy od razu przystępują ze słownikiem symboli: drzewo symbol życia, zieleń symbol odrodzenia, czerń symbol śmierci, ptak, krowa, moneta, kupa - wszystko to symbole. (...) Nie cierpię określenia „powiedzieć coś przez coś”.*

W rozmowie z magazynem „Viva” w maju 2003 roku powie zaś:

Zawsze, gdy ludzie opisują moje obrazy, zachodzę w głowę, o jaki obraz chodzi. (...) Kiedyś z galerii zadzwoniła pani, że jacyś Niemcy chcą kupić mój obraz. Jaki? A ona „złote trumny lecą, umarli z nich wypadają”. „Cooo? Niech pani obróci obraz

i sprawdzi, czy tam na pewno jest mój podpis. Nie przypominam sobie, żebym coś takiego namalował.”

Może paradoksalnie dobrze się stało, że największa kolekcja obrazów Zdzisława Beksińskiego znajduje się w Sanockim Muzeum. W innym wypadku stałoby się to, czego autor bardzo się obawiał i czego doświadczał za życia – zagarnianie sztuki dla ideologicznych potrzeb.

Treść obrazu mieści się nie w użytych rekwizytach, lecz w tym, co niewypowiedziane. (...) A może najuczciwiej jest powiedzieć, że nie wiem, o co idzie. Po prostu odczuwam taką potrzebę, by malować. (...) Opisuję zresztą konkretny obraz namalowany przed kilku laty, który potem obrzydzano mi do reszty egzegezami tego typu, że oto tradycyjne „ryby na piasku” lub jeszcze gorzej, że jest to protest przeciwko zagrażającej katastrofie ekologicznej. Ale ja nie myślałem w ten sposób, lecz całkowicie po prostu: namalowałem morze i wyrzucane na brzeg martwe ryby. Nic poza tym. I gdybym przypadkiem namalował kiedyś nagą dziewczynę z czaszką w dłoni, to nie byłaby to na pewno ani „miłość i śmierć”, ani „vanitas”. Banal funkcjonowałyby tu tylko ubocznie.*

Możliwe, że wokół muzeum Beksińskiego narodziłaby się nowa subkultura albo stałoby się to miejsce młodej bohemy, tworząc coś na kształt warszawskiego Placu Zbawiciela. Kiedy patrzymy na dzisiejszą ideologizację sztuki, jej rozdieranie między prawicę i lewicę i zimną obojętność liberałów – zostawmy w spokoju chociaż Beksińskiego. Co prawda niewpisująca się w paradygmat żadnej ze stron sztuka powoduje, że żadnej z nich nie będzie zależało na ochronie czy wykupywaniu z rąk prywatnych jego prac, ale przynajmniej pozwolą odbiorcom w spokoju ją przeżywać.

* Cytaty pochodzą z książki Magdaleny Grzebałkowskiej „Beksińscy. Portret podwójny”.

